

Odczyt 4 maja 2020, z okazji Dnia Pamięci Ofiar Wojny.

Arnon Grunberg

## NIE

Zastanawiałem się często, jaki jest pożytek z obchodzenia tego typu uroczystości. Czy upamiętniamy, ponieważ tak nakazuje nam tradycja, czy może chodzi o coś więcej?

Wiosną zeszłego roku podczas wykładu na temat twórczości Margi Minco i wojny - nie wiem, czy to wojna mnie prześladowuje, czy też ja ją- zwróciłem uwagę, że upamiętnianie powinno być czymś więcej niż rytuałem, powinno obejmować chęć pogłębienia wiedzy, a frazesy są wrogiem obchodów pamięci ofiar. Uświadomiłem sobie również inny banał, rozbrzmiewający coraz donioślej, że dokładnie znamy już historię wojny i Żydów. Ten zuchwały truizm zakłada, że nasza wiedza jest kompletna i możemy się odciąć od stosunkowo niedawnej przeszłości.

Twierdzenie, że historia jest nam już znana, oznacza często odmowę zapoznania się z nią. A każdy, kto nie zna swojej przeszłości, jest skazany nie tyle na jej powtórzenie, co na to, że nie będzie wiedział kim jest. Nic nie wzbudza większego pragnienia ustalenia swojej niezachwianej tożsamości, jak dręczące poczucie braku wiedzy kim się jest. Często ta niepodważalna potrzeba i brak elastyczności wobec niej, prowadzi do postrzegania innych jako całkowicie obcych, absolutnych wrogów.

Po wykładzie o twórczości Minco podszedł do mnie psychoterapeuta i powiedział, że rytuały i frazesy są nam potrzebne, aby nie rozchorować się od nadmiaru pamięci, że musimy trzymać naszą przeszłość na dystans, by nas nie przygniotła. Oczywiście, ale jeśli historia XX wieku wcale nie wywołuje w nas odrazy, to obawiam się, że niczego nie upamiętniliśmy, a na pewno, że niczego nie zrozumieliśmy.

Brak awersji może być objawem odwracania wzroku, wyparcia. Jeśli wyrugujemy z pamięci choroby ostatniego stulecia - uprzemysłowiony totalitaryzm, antysemityzm, który doprowadził do ludobójstwa, dyskryminację rasową – jeśli zakwestionujemy, że są głęboko zakorzenione w naszej kulturze, nie będziemy wiedzieli kim jesteśmy. I właśnie wtedy jesteśmy podatni na wpływ uwodzicieli, którzy pojawiają się, by nam oznajmić kim jesteśmy i kogo powinniśmy się bać.

Hołd pamięci ofiar jest również sposobem na zaakcentowanie, kim nie chcemy zostać, ale kim mimo to możemy się okazać. Upamiętnianie, prawdziwe upamiętnianie, nie ma prawa bytu bez strasznego przypuszczenia i uzasadnionego lęku, że możemy przeobrazić się w przyszłych sprawców i ich pomocników.

Pamięć ofiar rozpoczyna się od spostrzeżenia, że przeszłość nadal trwa, od uświadomienia sobie, że łono, które dało początek Trzeciej Rzeszy, jest nadal płodne.

Cenzura i wykluczenie nie stanowią odpowiedzi na żyźność tego łona. Życie w kraju, w którym rząd nie dyktuje nam co jest moralne, jest dorobkiem. Jednak to nie znaczy, że każdą granicę można przekraczać. Po 1945 roku niektóre tabu zostały stopniowo słusznie włączone do naszej kultury. Łamanie ich nie zawsze oznacza wyzwolenie, czasami jest tylko krokiem wstecz. Uroczystość taka jak dzisiaj zawsze pełni również rolę ostrzeżenia.

Historia ocalałych, którzy wrócili z obozów koncentracyjnych: Żydów, Romów, Sinti, przeciwników politycznych, w tym wielu komunistów i socjaldemokratów, jest historią wyjątków. Większość ofiar opuściła obozy przez komin. Moja matka była wyjątkiem; jej rodzice, moi dziadkowie, nie.

Upamiętnianie to także mówienie w imieniu zmarłych, a występowanie w ich imieniu jest możliwe tylko poprzez przytaczanie zeznań naocznych świadków. Chciałbym oddać głos jednemu z nich,

znajdował się bardzo blisko ofiar. Filip Müller, słowacki Żyd, członek Sonderkommando w Auschwitz-Birkenau.

Ta grupa specjalna składała się głównie z Żydów i miała za zadanie usuwać zwłoki z komór gazowych, obcinać im włosy, wrywać złote zęby, palić ciała. Większość jej członków mordowano po kilku miesiącach. Ostatnie Sonderkommando w Auschwitz zbuntowało się jesienią 1944, prawie wszyscy zostali zabici.

Müller pisze w swoich wspomnieniach o kilku rodzinach żydowskich, które ukrywały się w przerażających warunkach, w bunkrach, w pobliżu polskiego miasta Sosnowiec. SS wpadło na ich trop, bo zdradził ich płacz dzieci.

Zabrano ich do Auschwitz. Kobietom i dzieciom kazano się rozebrać, co było normalną procedurą. Nie zostali zagazowani, lecz rozstrzelani i to było wyjątkowe. Müller nie wyjaśnia, dlaczego. Być może nie było wystarczająco dużo ludzi, aby wypełnić komory gazowe, a nie należało marnować cyklonu B. Nazistowska maszyna do zabijania była poza wszystkim także działalnością gospodarczą, gigantyczną grabieżą, w której zabijanie i pozbywanie się zwłok trzeba było wykonywać jak najbardziej wydajnie.

Rozebrane do naga kobiety stały z dziećmi pod ścianą egzekucji. Müller opisuje kobietę, trzymającą w ramionach dziecko: „Tymczasem kat Voss chodził nerwowo wokół nich, z karabinem małego kalibru, aby znaleźć odpowiednie miejsce, z którego mógłby skierować broń na malucha. Kiedy zdesperowana matka to zauważyła, przekręcała się na wszystkie strony, aby osłonić go przed zasięgiem śmiertelnej broni. Rozpaczliwie próbowała zakryć każde miejsce ciała dzieciaka swoimi rękami.

Nagle w ciszy rozległo się kilka strzałów. Maluch został trafiony z boku w klatkę piersiową. Matka, czując jego krew spływającą po swym ciele, straciła panowanie nad sobą i rzuciła dziecko prosto w twarz zabójcy, który lufę broni celował teraz w nią. Całkowicie zaskoczony Oberscharführer Voss skamieniał. Kiedy poczuł ciepłą krew na swojej twarzy, upuścił karabin i otarł policzek dłonią.”

Znamienne jest to, że wiemy, jak nazywał się Oberscharführer, ale nie znamy i prawdopodobnie nigdy nie poznamy tożsamości tej kobiety i jej dziecka.

Jeśli upamiętnianie ma iść w parze z chęcią pogłębienia wiedzy, to ważne są szczegóły, bo wiedza składa się ze detali i nie możemy pozwolić sobie na mówienie, że nie życzymy sobie słyszeć pewnych fragmentów, ponieważ zakłóca nasz spokojny sen.

Zanim ta kobieta rzuciła swe na wpół martwe dziecko w twarz Oberscharführera Vossa, odbyły się wybory parlamentarne, wydano urzędowe rozporządzenia, znaleźli się mniej lub bardziej chętni pomocnicy, z których większość nigdy nie była w obozie koncentracyjnym i nigdy nikogo nie zabiła. Warto zdać sobie sprawę z tego, że po zakończeniu wojny nie tylko Niemcy twierdzili, że o niczym nie mieli pojęcia, że oni tylko wykonywali polecenia.

Literaturoznawca S. Dresden przytacza w swoim studium „Prześladowanie, zagłada, literatura”, zdarzenie, opisane przez Ka. Tzetnika (Kacelnika), ukrywającego się pod pseudonimem Yehiel De-Nur. Grupę żywych Cyganek z dziećmi wrzucono do dołu w Auschwitz, ponieważ krematoria były przeciążone. Holenderski więzień otrzymuje rozkaz oblania tych ludzi naftą. Odmawia, a następnie sam zostaje wepchnięty w płomienie. Holenderskie „Nee! Nee!” do tej pory brzmi w uszach pisarza – notuje Dresden.

Moja matka trafiła do Auschwitz jesienią 1944 r., zaraz po buncie Sonderkommando, o którym zresztą nic nie wiedziała. Mówiła, że była szczęśliwa w Auschwitz, ponieważ miała nadzieję. Straciła ją dopiero po wyzwoleniu, kiedy pojęła ogrom katastrofy.

Urodziła się w Berlinie w 1927 r. W 1939 r. płynęła z rodzicami słynnym statkiem St. Louis z Hamburga na Kubę, ale Kuba zamknęła granice, Ameryka zamknęła granice, Kanada zamknęła granice i ostatecznie przycumowali w Holandii.

Mój ojciec, także urodzony w Berlinie w 1912 r., przeżył wojnę ukrywając się w różnych miejscach. Często musiał udawać zdezerterowanego żołnierza Wehrmachtu, aby znaleźć kryjówkę. Nie opowiadał o tym zbyt wiele, a jeśli już, to raczej przypadkowo, mimochodem. Jedną z osób, które udzieliły mu schronienia, miała mu po wojnie powiedzieć: „Gdybyśmy wiedzieli, że jesteś Żydem, to byśmy cię nie wpuścili”.

Utrzymywał kontakt z jedną rodziną, która ukrywała go w Rotterdamie. Raz w roku jeździł tam ze mną. Trzymali białe myszy w klatce.

I był jeszcze sprzedawca śledzi, miał kram obok giełdy na Rokin w Amsterdamie. Mieszkaliśmy w dzielnicy Rivierenbuurt, ale ojciec jechał po ryby tramwajem 25, ponieważ znał właściciela straganu z czasów wojny, był on wtedy członkiem ruchu oporu. Czasami jechałem razem z nim. Musieli się dobrze znać z okresu okupacji, ale nigdy o niej nie rozmawiali, mówili tylko o śledziach.

Wojna dla mnie jako dziecka to były białe myszy w klatce, sprzedawca śledzi obok giełdy, szczęście w Auschwitz. Nigdy wtedy nie przypuszczałem, że kilka dekad później, jako felietonista holenderskiej gazety, będę otrzymywał obelżywe, antysemityczne e-maile. Myślałem wówczas, że tabu jest za silne. Byłem naiwny.

Logika podpowiada, że jeśli o pewnych grupach etnicznych mówi się w sposób przypominający najciemniejszy okres XX wieku i staje się to powszechne, to wcześniej czy później będzie można w ten sam sposób mówić znowu o Żydach.

Dla mnie od samego początku było jasne: kiedy mówi się tak o Marokańczykach, to mówi się tak o mnie.

„Nie potrafię zrozumieć, znieść tego, że człowieka nie ocenia się po tym kim jest, ale według przynależności do społeczności, do której przypadkowo należy” – pisał Primo Levi do swojego niemieckiego tłumacza w latach 60-tych.

To zdanie powinniśmy powtarzać co tydzień, a może nawet codziennie, choćby po to, by pamiętać jak trujące mogą być słowa.

Historia Holendra, któremu kazano polać naftą żywe kobiety i dzieci w Auschwitz, zaczęła się od słów, od przemówień polityków.

Uważam, że w czasach postępującej sekularyzacji szczególna odpowiedzialność spoczywa na posłach i ministrach, którzy powinni dawać przykład, by słowo nie stało się trucizną, aby zawsze pamiętać, że państwo jest potrzebne, ale jest także potencjalnym złem, które z bezmyślną oczywistością może unicestwiać ludzi i społeczności.

Ostrzegam! Przypomina nam kobieta, która rzuciła swoje na wpół martwe dziecko w twarz Oberscharführera Vossa.

Ostrzegam! Upomina nas Holender, który krzyczał „Nee! Nee!”, odmówił oblania naftą żywych kobiet i dzieci i sam został wepchnięty w ogień.

Tłumaczenie powstało dzięki wsparciu Holenderskiej Fundacji na rzecz Literatury (Nederlandse Letterenfonds) w ramach międzynarodowego projektu „Przekłady drogą do lepszego świata” (Met vertalingen voor een betere maatschappij)